665

BARBARA KRAFFTÓWNA:

Kabaret moja miłość (niezależna)

— Jak przyjęła Pani wiadomość o powrocie Kabaretu Starszych Panów?

— Dech mi po prostu zaparło ze zdziwienia i radości. Ze zdziwienia, że dali się namówić, byli przecież tacy oporni... Dawniej opierały się kobiety, dzisiaj oporni są mężczyźni... A z radości, bo dzięki Starszym Panom przeżyłam wiele niezapomnianych chwil. I znów będę delektować się każdym słowem, wierszem, metaforą Przybory, tymi jego wszystkimi słownymi smaczkami, finezjami, muzyką Wasowskiego. Będę oddychać w tym nierealnym świecie, pełnym ciepła, liryzmu, subtelnego dowcipu, pławić się w mgiełkach absurdu unoszących się w tym świecie. Tego mnie i innym aktorom z Kabaretu brakowało. Starsi Panowie zamierzają zrekonstruować pierwsze swoje programy, które nie były zarejestrowane, bo nie było jeszcze wtedy u nas magnetowidu.

— Niektórzy mówią, że Kabaret ten stworzony był dla Pani, inni, że Panią i jej kolegów w nim występujących stworzyli Starsi Panowie. Tak znakomicie się w nim Pani znalazła, tak naturalnie w nim czuła. Słowem, Kabaret utrafił w Pani temperament aktorski, świat wyobraźni swobodnej, w Pani wyczucie formy, stylu, w przyjemność, jaką znajduje Pani w melodii słów, żywych słów, także na codzień, prywatnie. Odpowiadając kiedyś dziennikarzowi na pytanie, co robi Pani w wolnych chwilach, odpowiedziała Pani: „Dziergam na drutach"...

— Rzeczywiście, czasem dziergam.

— Czy kabaretowy rodzaj sztuki aktorskiej jest Pani najbliższy?

— Z pewnością bardzo bliski. Bardzo jestem do tej formy literackiej przywiązana. Prawie nie rozstawałam się z nią i przez wszystkie lata mojej pracy w teatrze udawało mi się znaleźć czas i siły na kabaret. W Gdyni były to „Podwieczorki literackie", w Warszawie jeden z pierwszych kabaretów literackich „Frascati" zorganizowany przez Wojciecha Siemiona, który w nim, oczywiście, występował. Potem był kabaret „U Łopka". Równocześnie urodził się Kabaret Starszych Panów w telewizji. Kiedy Starsi Panowie „odeszli" rozpoczęłam współpracę z Kabaretem Olgi Lipińskiej. Także w telewizji. Przez siedem lat związana byłam z Kabaretem Autorów „Pod Egidą". Były jednak sezony, kiedy musiałam się z kabaretem rozstać, kiedy na przykład przez jeden sezon grałam gościnnie u Kazimierza Dejmka w Łodzi.

— Po takich rozłąkach z kabaretem tym chętniej wracała Pani do niego?

— To była i jest moja niezależna miłość.

— Odwzajemniona.

— Odwzajemniona.

— Podczas niedawnego jubileuszowego koncertu Ludwika Sempolińskiego przypomniała Pani publiczności swoją „Imogenę". Tę piosenkę zebrani z pewnością znali doskonale, a jednak słuchali jak urzeczeni, jakby po raz pierwszy usłyszeli ją w Pani wykonaniu...

— Zaskoczona byłam tą reakcją, tym więcej, że była to profesjonalna widownia, aktorzy, krytycy, piosenkarze, widownia więc, którą trudno zaskoczyć, zająć, „wziąć".

— A ta „Imogena" ją wzięła...

— Pamiętam telefon od Zembatego sprzed lat, kiedy zaproponował mi „Imogenę", pamiętam jego niski głos, jakby ze studni mówił... Pani Barbaro, mówi Zembaty, mam dla Pani tekst... Było to wówczas, gdy grałam w Witkacym, może któryś z autorów zobaczył mnie na scenie, może ich zainspirowałam, nie wiem, w każdym razie proponowali mi odtąd teksty spod znaku czarnego humoru. Był więc najpierw „Dramat w ogródkach działkowych" Macieja Szweda, śpiewałam to w Opolu, było „Fizyczne hobby", także Szweda...

— ...W tych miniaturowych kreacjach estradowych może Pani, jak ktoś napisał, zademonstrować rzadką umiejętność celnej riposty, zaskakującej pointy, sugerowania podtekstów, przekładania tych podtekstów na dowcip sytuacyjny. I w każdej roli, teatralnej czy estradowej, ujawnia się Pani radość z pracy aktorskiej, radość tworzenia, tak szybko udzielająca się widzom. Czy taka radość może trwać?

— Oczywiście, że może.

— Rozmaite zdarzenia, sytuacje, przeżycia mogą ją odebrać, stłumić, tę otwartość przemienić w sceptycyzm...

— Kiedy staje się ona potrzebą, organiczną, codzienną, jak jedzenie, czystość, odpoczynek, wtedy żadne okoliczności nie są w stanie jej zniszczyć. Panują nad tym, wchodzi to nawet w podświadomość i staje się formą istnienia. Z nią jest łatwiej, i lżej pracować, istnieć. Są dni, oczywiście, kiedy człowiek ma zmartwienia, tragedie... Ale one są moje, nie ludzi, po cóż ich obciążać tym bagażem.

— Ale, jeśli Pani pozwoli, jest to interesujące, jeśli zestawić obserwację o Pani pogodzie wewnętrznej z rodzajem Pani aktorstwa, w którym psychologię postaci przez Panią kreowanej, jej zachowanie, postępowanie określa sytuacja, w jakiej się ona znalazła, nie zaś jej charakter... Jest to aktorstwo, w którym nie ma sprzeczności między „być" a „grać", prawdziwe psychologicznie...

— Jeśli takie są moje postacie, to wynika już z ich literackiej koncepcji lub konstrukcji, a ja z pomocą reżysera daję im zewnętrzne ucieleśnienia.

Ja swoje doświadczenie zawodowe, jak również życiowe czerpię z tego, co przynosi mi „codzienność". A panowanie nad „codziennością" daje mi dużą satysfakcję, tak dużą, jak panowanie nad publicznością. Ani na sekundę nie można jej stracić.

Scena z życiem przenikają się. „Zbudowanie" roli poprzedza analiza tekstu, sytuacji, w jakie autor wprowadza swego bohatera. Ta umiejętność dokonywania analizy przenosi się potem na życie.

— Czy takich doświadczeń przysporzył Pani także Witkacy? Może to odległe skojarzenie, ale przychodzą mi na myśl właśnie witkacowskie Pani postacie. Któryś z krytyków napisał, że jest Pani „aktorką urodzoną do Witkiewicza", jego zdeformowaną rzeczywistość tak świetnie potrafiła Pani rozpoznać...

— Na literackim materiale Witkacego wiele się nauczyłam, daje on bowiem wielkie możliwości własnego, osobistego prawie kształtowania postaci. Każde jego określenie, zdanie, wywołuje mnóstwo podtekstów, trzeba zatem szukać tego właściwego. Dzięki Witkacemu poznałam lepiej mój aktorski warsztat.

— Wielu ludzi przychodzi do teatru dla aktora, „spotkania" z nim. Mogą wówczas, dzięki niemu, spojrzeć na swoje sprawy z dystansu, dostrzec wartości wyższe, nieprzemijające. Jest to często uleganie iluzji, ale także i pobudka do poszukiwania sensu...

— Przekonana jestem, że ludzie zawsze będą do teatru przychodzić nie tylko dla aktora, gdyż decyduje potęga tematu, filozofia autora, choćby właśnie Witkacego, która sprawia, że kolejne pokolenia nawiązują z nim dialog. Jeśli w tym dialogu umiejętnie pośredniczymy, reżyser, aktor, tym większego znaczenia owo „spotkanie" w teatrze nabiera.

— Widz przychodzi do teatru ze swymi przeżyciami, odczuciami, myślami... Powiedzmy więc, że widza przygasza głupota ludzi, z którymi się styka, ich koniunkturalizm, zaś ze sceny padają słowa Doroty z „Matki" Witkacego, która mówi o swym synu: „Czy ja wiem, jaki by był mój Ferdek teraz — w tej małtretacji dzisiejszej?... Teraz, w naszych ciężkich czasach taki się tak zakłamie, tak wykłamie wszystko od samego środka, tak okłamie siebie i rodzoną matkę, tak wkłamie w siebie i w innych, że go nikt, żadna siła, nie odkłamie. Dokłamać się musi do końca. A pojeden to się jeszcze przekłamie na wylot — i to bywa". To była niezapomniana Pani rola w Teatrze Współczesnym.

— To jest wielkie szczęście dla aktora, kiedy trafia na wspaniałe tworzywo literackie, jest w zespole świetnych kolegów i pod opieką mądrego reżysera. Wtedy rodzą się niezapomniane spektakle.

— Sztuka aktora, jego predyspozycje zmieniają się z upływającym czasem, zmienia się i gotowość aktora do działania. Są aktorzy, którzy to dramatycznie przeżywają. Pani zachowała pogodę, spokój, harmonię. Wydaje mi się, jeśli pozwoli Pani na tą opinię, że aktorstwo Pani jest niezależne od biegu czasu...

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, choć czas z pewnością leci... Musiałabym cierpliwie czekać, razem z Panem, by stwierdzić czy czas pozostawia ślady na moim aktorstwie. Zdobyta technika zawodowa powinna się obronić.

— Autorka książki poświęconej Pani sugeruje, że „warto specjalnie dla Krafftówny napisać scenariusz". Jaki, chciałaby Pani, by ten scenariusz był?

— Bardzo dobry. Proponuję jednak zadać to pytanie publiczności, może jej opinia zainspiruje scenarzystów?

Rozmawiał:
BOGDAN MOŻDŻYŃSKI
Fot. LEOPOLD DZIKOWSKI